

Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/wydawnictwo/o-ksiazkach/poczytaj/nie-tylko-o-ksiazkach/98052,Do-dzis-mam-dylemat-moralny.html>

27.02.2026, 22:28

Do dziś mam dylemat moralny

Część 2 rozmowy ze Stanisławem Zalewskim, byłym więźniem KL Auschwitz i obozów systemu Mauthausen: Gusen I, Gusen II, prezesem Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych

06.05.2020



Stanisław Zalewski w Miejsu Pamięci Mauthausen (fot. Maciej Foks)

[W poprzedniej części mówiliśmy m.in. o KL Auschwitz.](#) Porozmawiajmy o deportacji do KL Mauthausen jesienią 1943 r.

Na początku listopada, podczas apelu wieczornego naszego baraku, w języku więźniarskim apelu blokowego, nasz *blockführer*, czyli dowódca SS, który miał nasz blok pod swoją komendą, siedł wzdłuż szeregu i bacznie przyglądał się wszystkim więźniom. Wybranego wskazywał kijkiem. Obok siedł pisarz blokowy, który zapisywał numer więźnia. Rano wszystkich wskazanych zerwano na równe nogi. Premaszerowaliśmy do obozu macierzystego, czyli Auschwitz I. Po umyciu wydano nam nowe ubrania, tzw. pasiaki. Dostaliśmy czapki, koszule, kalesony, marynarki i drewniane chodaki. Zgromadzono nas w jednym baraku. Skoro świt umieszczono nas w wagonach dostosowanych do przewozu żywych zwierząt. Dziś, gdy pisze się o transportach więźniów do obozów koncentracyjnych, używa się często określenia bydlęce, choć precyzyjnie rzecz ujmując, chodzi o wagony towarowe z małymi okienkami, którymi ledwo przechodziło powietrze. Wagon, którym nas wywożono, miał duże otwory wentylacyjne, niezasłonięte, podłogę o dziwo wyścieloną słomą, a liczba więźniów była taka, że można było chodzić.

Czy to z tego transportu uciekli więźniowie?

W wagonie było dwóch wartowników z SS. Usiedli przy drzwiach i nie zwracali na nas uwagi. Więźniowie zaczęli chodzić w wagonie, następnie śpiewać, najpierw cicho, potem głośno. Strażnicy nie reagowali. Po pewnym czasie pociąg stanął na bocznicę. Przez okienko zobaczyliśmy, że jesteśmy w Wiedniu. Skład stał tam dosyć długo. Zmieniła się służba wartownicza. Kiedy pociąg ruszył, esesmani zaczęli liczyć więźniów. Okazało się, że dwóch brakuje. Sprawdzili jeszcze raz w ten sposób, że zgromadzili więźniów w jednym rogu wagonu i kazali im przechodzić w drugi. Znowu liczba się nie zgadzała. Esesmani policzyli jeszcze raz, ale już przy użyciu kolb karabinu. Każdemu więźniowi dostała się porządna porcja razów. Okazało się, że w jednym z rogów wagonu są poluzowane deski. Zaczęło się dochodzenie, zwłaszcza wśród więźniów, którzy stali w tym miejscu. Wyselekcjonowano kilku, którzy rzekomo pomagali w ucieczce, pobito ich bardzo mocno. Jednego z więźniów wieszano za pomocą paska na haku, który był umieszczony w dachu wagonu. Pasek się zrywał, ale ostatecznie więzień został powieszony. Dwóch innych pobito do nieprzytomności. Po dojechaniu do Mauthausen więźniowie wyszli z wagonu. Trzech zabitych wyniesiono i położono obok. Nie było osoby, która by nie miała na ubraniu śladów krwi od uderzeń. Sformowano z nas kolumnę i poprowadzono do obozu. Ucieczka więźniów do dziś jest dla mnie zagadką. Przed wejściem do wagonu byliśmy rewidowani. Jak zatem więźniowie mogli wyrwać deski, skoro nie mieli żadnych narzędzi? Jak mogli dalej uciekać, jeśli mieli na sobie tylko pasiaki?



Miejsce Pamięci Mauthausen. (fot. Maciej Foks)



Miejsce Pamięci Mauthausen. (fot. Maciej Foks)



Miejsce Pamięci Mauthausen. (fot. Maciej Foks)

Teren obozu Mauthausen wygląda jak twierdza. Otoczony kamiennym murem z wieżyczkami do dziś sprawia ponure wrażenie. Jak długo Pan tam przebywał?

Tylko jeden dzień. Zatrzymano nas na placu. Następnego dnia zostaliśmy wykąpani pod natryskami z zimną wodą umieszczonymi pod wiatą. Wydano nam tylko koszule, kalessony i trepy. Zostaliśmy uformowani w kolumnę, która wyszła z Mauthausen pod eskortą esesmanów. Kto nie nadążał, otrzymywał razy, a jak upadł, właściwie już się nie podnosił. Nieśli go na plecach inni więźniowie. Tak doszliśmy do Gusen I. Ze względu na ubiór więźniowie nazwali nasz transport (*zugang*) kalessonowym.

Co działo się po przybyciu do obozu?

Znów wykąpano nas pod prysznicami, po czym ulokowano w baraku, z którego wychodziliśmy tylko na apele. Po dwóch lub trzech dniach, dokładnie nie pamiętam, byliśmy na tzw. kwarantannie, podczas której więzień musiał dostosować się do warunków panujących w obozie. Zatrudniono nas do noszenia kamieni z kamieniołomu w Gusen do miejsca, w którym zmieniano ich rozmiar i kształt. Więźniowie szli szeregiem. Obok stali esesmani i kapo z dużymi kijami. Jeżeli zauważono, że *Häftling* niesie za mały kamień, to dostawał lanie, po którym nie mógł się podnieść. Później spychano go ze zbocza, którym przechodziliśmy, do wąwozu. Dlatego więźniowie, ratując się przed tym, opracowali pewną technikę mylenia nadzorców. Wybierało się kamień płaski o dużej powierzchni, a idąc między kapo a esesmanami, ustawiało się go na plecach tak, aby płaszczyzną był skierowany do stojących obok. Więźniowie specjalnie się uginali, by pokazać, jak kamień jest ciężki. Taka kwarantanna trwała, o ile pamiętam, dłużej niż dwa tygodnie. W tym czasie zginęło wielu więźniów. Pozostali tylko silni. Następnie zostałem przydzielony do komanda Messerschmitt. Na początku byłem w tzw. kolumnie transportowej jednym z więźniów obsługujących wóz, który ciągnęliśmy. Zwoziliśmy maszyny i urządzenia z rampy kolejowej w Gusen do hali. Były to urządzenia i zespoły do maszyn przeznaczonych do montażu. Po ustawieniu, pod nadzorem wojskowym, maszyn przez majstrów zostałem przydzielony do grupy produkcyjnej w sztolni, to znaczy w korytarzu wydrążonym w zboczu góry. Były tam produkowane jakieś zespoły. Nie wiedzieliśmy wówczas, do czego służyły. Prawdopodobnie były to elementy do samolotów messerschmitt lub rakiet V2.

W jaki sposób oznaczano więźniów?

Mieliśmy numer przyszyty na materiale z odpowiednim trójkątem. Jako tzw. polityczni otrzymaliśmy winkiel koloru czerwonego, zwrócony wierzchołkiem do dołu. Na trójkącie była pierwsza litera państwa, z którego pochodziliśmy. Niezależnie od tego numer więźnia był wybity na blaszce, w której otworach umieszczono kawałki drutu. Należało ją nosić na przegubie lewej ręki. Drut bardziej kaleczył rękę, niż pomagał w noszeniu numeru. Więźniowie, którzy pracowali w komandzie Messerschmitt, a mieli dostęp do materiału i narzędzi, produkowali numery na blaszkach aluminiowych ze specjalnymi otworkami, do których doczepiano paseczek lub sznurek. Płacono za to walutą obozową, czyli papierosami. Władze obozowe nie zwracały uwagi na noszenie takiego numerka.

Jak wyglądał dzień obozowy w Gusen I?

W znacznym stopniu zależał od miejsca pracy. W komandzie Messerschmitt pracowaliśmy po dziesięć godzin dziennie. Wstawało się około godz. 5.00, należało równo pościelić łóżko – na początku spaliśmy pojedynczo – następnie odbywał się apel poranny, potem śniadanie w postaci miski niesłodzonej kawy z małym dodatkiem, zbiórka, podział na komanda robocze i wymarsz z obozu do miejsca pracy. Szliśmy piątkami, równym krokiem. Przy bramie esesman liczył więźniów w komandzie, które prowadził kapo. Z obiadem też bywało różnie. Albo przywożono go na miejsce pracy, albo wracaliśmy do obozu na wydanie posiłku w baraku. Posiłek należało jeść bardzo

szybko, czasem nie wszyscy zdążyli. Następnie wychodziliśmy do pracy, by w późnych godzinach popołudniowych wrócić do obozu. Ponowne liczenie przy bramie, przebranie się w baraku, jeżeli ktoś miał w co, mycie się i apel. W Gusen w zasadzie były apele wszystkich więźniów na placu apelowym. Po apelu rozdawano kolację, po której więźniowie mieli czas wolny do dzwonka. Po jego usłyszeniu wszyscy musieli iść spać.



Upamiętnienia zamordowanych więźniów obozu, na terenie Memoriału Gusen. (fot. Maciej Foks)



Tablica z okresu PRL na murze Memoriału Gusen. (fot. Maciej Foks)



Schemat obozu na terenie Memoriału Gusen. (fot. Maciej Foks)

Czy noce były spokojne?

Szczęśliwie byłem w baraku, w którym nie odbywały się ekscesy esesmanów i kapo, natomiast od innych kolegów się dowiedziałem, że wieczorami esesmani potrafili wchodzić i wyłapywać więźniów, których kapo zanotował za to, że uchylali się od pracy albo że źle zdjęli czapkę.

A czy Panu się to kiedyś zdarzyło?

Więźniowie zauważyli, że w pobliżu naszej drogi z rampy kolejowej do hali produkcyjnej było kartoflisko. Dwóch lub trzech, dokładnie nie pamiętam, odskoczyło od wózka i wygrzebało znaczną ilość ziemniaków. Po przyjeździe do hali zostały one włożone do pieca, którym było ogrzewane pomieszczenie. Ziemniaki zawiesiliśmy na drucie nad paleniskiem. Podczas przerwy obiadowej ktoś poprosił mnie o wyjęcie ich, aby się nie spaliły. Musiałem przejść obok stolika, przy którym siedziało dwóch esesmanów. Przepisowo zdjąłem czapkę, złożyłem ręce do bioder i krokiem defiladowym przeszedłem dalej. Zawrócili mnie. Przy powtórce czynności jeden z siedzących podstawiał mi nogę. Wstał drugi esesman, coś mówił po niemiecku, zrozumiałem tylko, że zrobiłem to nieprawidłowo. Z całej siły uderzył mnie w twarz. Zachwiałem się, ale udało mi się ustać. Tymczasem drugi esesman zwrócił uwagę koledze, że nie wie, jak się bije. Wstał i grzmotnął mnie ręką tak, że upadłem. Przestali się wówczas mną interesować. Jediną myślą, kiedy się podniosłem, była obawa, że ziemniaki już się spaliły. Głód u więźnia decydował o wszystkim.

Oprócz głodu więźniom dokuczały insekty.

W Gusen byliśmy strzyżeni na języka. Przez środek głowy, od czoła aż do karku, był wygolony pas. Ta ścieżka była nazywana *streifą*, a więźniowie mówili, że jest to ścieżka dla wszy. Ciało nasze wyglądało tak, jakby było pokłute szpilkami. Insekty były usuwane w procedurze tzw. *vergasungu*.

Na czym ona polegała?

Nie szliśmy tego dnia do pracy. Kazano nam rozebrać się do naga. Ubranie zostawiało się na łóżku. Następnie ogłaszano zbiórkę przed blokiem. Uszczelniano barak, po czym do środka wpuszczano gaz, który miał rzekomo truć insekty. Staliśmy nago na placu apelowym. Więźniowie zbijali się w gromadki, żeby się wzajemnie ogrzać. Ci, którzy znaleźli się w środku, byli bardziej ogrzani, dlatego stojący na zewnątrz wypychali tych ze środka. Po wieczornym apelu odbywała się kąpiel po spryskaniu płynem do zabijania insektów. Po powrocie do baraku należało znaleźć swoje ubrania, ale kto pierwszy, ten lepszy. Chwymano to, co było pod ręką. Nie wszyscy odnajdywali swoje ubranie. W baraku czuć było jeszcze gaz, więc wielu więźniów mdlało. Już ubrani otrzymywaliśmy wieczorny posiłek. Z wszami walczyliśmy również sami. Kładło się szmatkę na szyję, po godzinie zdejmowało i strząsało wszy na ziemię, bacząc, by ktoś z nadzoru tego nie zauważył. Bieliznę kontrolowano. Jeżeli u kogoś znaleziono insekty, dostawał baty i nie otrzymywał posiłku. Na to również więźniowie, przynajmniej w baraku, w którym byłem, znaleźli sposób. Zorganizowali – mówiąc językiem obozowym, czyli ukradli – kilka czystych koszul z magazynu. Podczas wieczornej *lauskontroli* więzień za pewną opłatą w postaci papierosów siedł z taką koszulą w rękę. Kiedy wracał, koszula wędrowała do następnego więźnia.

W Gusen I przebywali więźniowie różnych narodowości.

W naszym baraku byli sami Polacy. W innych byli osadzeni Włosi, Hiszpanie i Francuzi. Lokowano ich razem, jeżeli było miejsce. Niektórzy więźniowie mieli tylko łóżka w baraku, ale rzadko w tym miejscu przebywali. Na przykład kuchnia została opanowana przez więźniów z Hiszpanii, którzy byli przeciwnikami gen. Franco. Ponieważ przygotowywano posiłki dla całego obozu, więźniowie

byli tutaj od rana do wieczora, a nawet do późnej nocy. Zjawiali się niekiedy w baraku po swoje rzeczy. Jeżeli chodzi o moją pracę, to w komandzie produkcyjnym, do którego trafiłem po rozwiązaniu kolumny transportowej, byłem jedynym Polakiem. Pracowali tam Włosi, Francuzi i kilku Niemców. Wymyśliliśmy swój język. Dane narzędzie nazywaliśmy po polsku, inne po francusku itd., i tak przyjęta nazwa była używana. W tej grupie wytworzyła się więź między więźniami. Jeżeli ktoś miał coś do jedzenia, to częstował drugiego.



Uroczystości rocznicy wyzwolenia w Miejscu Pamięci Mauthausen, 2015 r. (fot. Maciej Foks)



Młodzież z Hiszpanii w trakcie uroczystości rocznicy wyzwolenia na terenie Memoriału Gusen, 2015 r. (fot. Maciej Foks)



Memoriał Gusen. Upamiętnienia więźniów polskich i francuskich. (fot. Maciej Foks)

Podczas uroczystości rocznicy wyzwolenia można dostrzec m.in. grupę osób niosących transparenty upamiętniające świadków Jehowy. Czy spotkał Pan więźnia z fioletowym trójkątem?

Tak, w sztolni. Według nomenklatury obozowej był badaczem Pisma Świętego. Nie pracował. Oficer SS nadzorujący nasz oddział produkcyjny wezwał go do siebie i zapytał, dlaczego nie pracuje. Miałem stanowisko w pobliżu, więc wszystko słyszałem. Więzień odpowiedział, że jego wiara zabrania mu produkowania wszystkiego, co służy do zabijania ludzi. Esesman odrzekł, że jeśli przydzieli go do kuchni, aby obierał ziemniaki, to wyjdzie na to samo, gdyż będą jedli je więźniowie, którzy produkują maszyny do zabijania. „Tak, ale tego nie będę widział” – odpowiedział więzień. Esesman kazał mu odejść. Do końca swojej zmiany, a trwało to kilka dni, udawał, że go nie widzi. Później przyszła nowa załoga wartownicza. Oficer od razu zauważył niepracującego i wezwał go do siebie. Rozmowa trwała kilka minut. Zawołał wartownika, kazał więźnia wyprowadzić i rozstrzelać. Na oddziale produkcyjnym do końca zmiany nie zamieniliśmy ze sobą słowa. To jeden z przykładów śmierci za przekonania religijne.

Czy pamięta Pan święta w obozie?

Pamiętam, że w święta Bożego Narodzenia 1943 r. w Gusen I blokowy wypędził nas pod wiatę z natryskami na wolnym powietrzu. Po kąpeli dostaliśmy ubrania i dalej mam białą plamę w pamięci. Dowiedziałem się już później z literatury wspomnieniowej, że więźniowie w bloku przygotowali jasełka. To pierwsza sytuacja, której nie pamiętam. Ponieważ jedzenia było za mało, by wytworzyć dostateczną ilość energii, organizm korzystał z własnych zasobów. Tworzyły się w ten sposób ubytki w różnych organach. U mnie, jak się później dowiedziałem od specjalisty, powstały w obszarach zawiadujących pamięcią. Pewne rzeczy znam bardzo dokładnie, a niektóre są dla mnie białą plamą. Nie wszyscy o tym wiedzą i kładą to na karb sklerozy.

Zapytam o miejsce, które u więźniów obozów koncentracyjnych budziło obawy. Czy zetknął się Pan z rewirem w Gusen?

Tak. Miałem na łydce prawej nogi ranę, która powiększała się i ropiała. Zalepianie szmatką lub fragmentami worka od cementu nie pomagało. Zaczynałem kuleć, potem prawie nie mogłem chodzić. Miałem więc wybór: zostać w baraku i narazić się na śmierć lub pójść na rewir, z którego nie wychodziło się żywym. Zdecydowałem się jednak pójść do szpitala. Trzeba było zapisać się na listę. Sztubowy, a później blokowy sprawdzali, czy rzeczywiście nadają się do szpitala. Przed wejściem na rewir, rozbierano nas do naga. Następnie malowano nam numery na piersiach. Po wejściu do pomieszczenia każdego więźnia przyjmował sztubowy. Pytał o nazwisko i imię. Kiedy zacząłem mówić po polsku, usłyszałem pytanie zadane w rodzimym języku. „Skąd jesteś?”. „Z Warszawy” – odpowiedziałem. „A wiesz, gdzie są ulice Targowa i Żąbkowska?” – dopytywał nieznajomy. Potwierdziłem. „Tam była cukiernia moich rodziców” – powiedział więzień. „Wiem, bo rodzice posyłali mnie tam po ciastka” – odparłem. Przydzielono mi prycę, spałem sam na piętrze. Dostałem też ubranie. Inni więźniowie leżeli nago po dwóch na każdym piętrze pryczy, która miała dwa albo trzy piętra. Ponadto dostawałem nieokrojone posiłki, a sztubowy polecił mnie lekarzom, też więźniom, by się mną zaopiekowali. Mieli oni papierowe bandaże. Dawali mi też jakieś proszki.

Jednym słowem, odnalazł Pan w warszawiaku przyjazną duszę.

I tutaj mam dylemat. Moja prycja była niedaleko piecyka. W nocy sztubowy wychodził ze swojej *kapufy* – tak nazywaliśmy to pomieszczenie – i siadał przy tym piecu. Więźniowie, którzy dopiero w nocy mogli iść do ubikacji, szli, czepiając się brzegów pryczy. Kiedy sztubowy zauważył takiego, który się przytrzymał, podchodził i kijem uderzał go w głowę. Miał dwóch pomocników, którzy szybko zaciągali nieszczęśnika do ubikacji, a jak jeszcze dawał oznaki życia, to wieszali go na kłamce od drzwi. Podczas mojego pobytu powtórzyło się to kilka razy. Udawałem, że śpię, a nawet

chrapałem. Nie wiem, co byłoby, gdyby sztubowy zauważył, że widzę, co on robi. O dziwo, rana zaczęła mi się zablizniać. Kiedy wszystko szło w dobrym kierunku, dałem znać sztubowemu, że chciałbym wrócić do mojego baraku. „Siedź tutaj, masz nieokrojone posiłki, ubranie, kiedy pójdziesz na barak, będziesz musiał pracować” – odpowiedział. W końcu machnął na to ręką. W 1946 r. siedłem nad Wisłą, tam, gdzie przed wojną był ośrodek rekreacyjny. Ze zdumieniem zauważyłem, że w jednej z drużyn siatkówki gra mężczyzna, który wygląda jak wspomniany sztubowy. Nie wiedziałem, co zrobić. Postanowiłem odejść na chwilę i pozbierać myśli. Kiedy wróciłem i chciałem zweryfikować, czy to on, już go nie było. Szukałem tego mężczyzny, ale bez powodzenia. Może i lepiej, że się tak stało, bo miałbym dylemat, jak należałoby postąpić. Czy w imię sprawiedliwości, bo zabijał ludzi, czy okazać wdzięczność, bo uratował mi życie. Problem moralny pozostał do dziś. Młodzi ludzie, którzy słuchają moich wspomnień, mówią, że powinienem być wdzięczny, a dorośli, że muszę dokonać wyboru.

Rozmawiał Maciej Foks

[Zapraszamy do lektury kolejnej części rozmowy](#)

[Poprzedni Strona](#)

[Następny Strona](#)

Rozmowa

Powiązane wiadomości



Pawiak był przedsionkiem kacetu – ze Stanisławem Zalewskim, byłym więźniem KL Auschwitz i obozów systemu Mauthausen rozmawia Maciej Foks (cz. 1)